ŚWIAT SZKOLNY



Łańcuch ofiar na F. O. N.

Kontynuując łańcuch ofiar na F. O. N. zainicjowany przez Koło Pracy Społecznej dla Państwa im. J. Piłsudskiego przy I-szym gimn. państw im. H. Sienkiewicza — Koło Pracy przy gimn. im. R. Traugutta w odpowiedzi na apel Koła Pracy przy gimn. im. J. Słowackiego składa na F. O. N. 25 zł.

ZARZĄD KOŁA.

Redakcja „Swiata Szkolnego" ogłasza
K O N K U R S
na stałą okładkę i
KONKURS LITERACKI
na nowelę o temacie dowolnym.

Z projektów nadesłanych na Konkurs na najlepszą okładkę, Komitet Redakcyjny uznał za nailepszy — projekt kol. Piątkowskiego z G. P. H. S.

Termin składania prac konkursowych i wszelkich innych ubiega z dn. 20 stycznia 1937 r.

O zebraniu delegatów „Swiata Szkolnego" zawiadomimy w swoim czasie.

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok XI Grudzień 1936 Nr. 3 (62)



Rubens. ŚWIĘTA RODZINA.

Z OKAZJI NADCHODZĄCYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIM SWYM CZYTELNIKOM SKŁADA REDAKCJA.

Ten, który „krzepił serca".

(W 20-lecie śmierci Sienkiewicza).

Odezwały się organy, zajęczały dzwony. Zadrżały mury prastarej katedry św. Jana w Warszawie, jakby pod wpływem tych dźwięków przypomniały sobie chwile, których były świadkiem przed 12 laty, kiedy to przyjęły do swego wnętrza śmiertelne szczątki jednego z najwybitniejszych Polaków. Zmarł Henryk Sienkiewicz 16 listopada 1916 roku, w Vevey w Szwajcarii, dokąd udał się w końcu sierpnia 1914 roku, by wraz z Ignacym Paderewskim i Antonim Osuchowskim zoraganizować Komitet pomocy dla ofiar wojny w Polsce. W pracy na tym posterunku zakończył życie, mając lat 70.

Pochodził z małej wioski podleskiej. Woli Okrzejskiej już jako młody chłopiec pod wpływem obrazów mistrza J. Matejki marzył a tym, by zostać rycerzem.

I spełniło się marzenie, bo choć szabli nie nosił, pancerza nie przywdział, miał się stać wkrótce mocarzem ducha polskiego.

Po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Warszawie pisywał artykuły krytyczne dla „Przeglądu Tygodniowego", a w „Gazecie Polskiej" umieszczał na przemian z Wł. Bugusławskim i Edwardem Leo szereg felietonów literackich. Równocześnie pisał nowele, których liczba znacznie zwiększyła się po powrocie z Ameryki.

Znane są powszechnie nowele: „Janko muzykant", „Stary sługa" i „Hania", „Za chlebem", „Anioł", „Bartek zwycięzca", „Latarnik". W roku 1883 zabrał się do pisania Trylogii, do której, jakby wstępem była nowela p. t. „Niewola tatarska".

Z burzliwego wieku XVII wywołał, jak czarodziej wielkich rycerzy, pokazał nam ich w czynie.

Czym wytłumaczyć sobie, że Sienkiewicz ten wiek szczególnie ukochał?

Nigdy bowiem w takim stopniu nie zabłysły cnoty rycerskie, nigdy Polska nie wydobyła z siebie tych sił, by wyrzucić z granic wszystkich swoich wrogów. Tragiczny był ten wiek XVII: wiele w nim było cnót i grzechów, ludzie święci i zdrajcy: Ksiądz Kordecki — Opaliński, Radziwiłłowie; wstyd i chwała: Piławce i Częstochowa, Kamieniec Podolski i Chocim. Tc pasowanie się światła i cieni nęciło artystę.

Powieści Trylogii są powieściami historycznymi. Musiał też autor podobnie jak historyk przestudiować liczne dokumenty kroniki i t. p.

Rozważmy czynniki absorbujące czytelnika przy czytaniu Trylogii, zastanówmy się, dlaczego stała się ona tak popularna? Dlaczego się wzruszamy przy czytaniu niemal każdego rozdziału? Posługuje się autor umiejętnie, z wielkim talentem środkami wzruszeń, których punktem szczytowym jest groza śmierci. Utrzymuje nas autor często w trwodze o los bohatera, wzrusza nagłym niebezpieczeństwem, jak i niespodzianym ocaleniem, wzrusza bohaterstwem na polu walki, jak i wewnętrznym borykaniem się, wzrusza klęskami, obrazem śmierci (śmierć Longina Podbipięty), wzrusza szczęściem, jakie spotyka bohatera powieści, wzrusza, malując uczucia miłosne, cierpienia duchowe (Skrzetuskiego, Kmicica).

By zaś smutek, cierpienie i groza nie panowały wszechwładnie, by czytelnik mógł odpocząć, temu celowi służą w Trylogii postaci i sceny humorystyczne; takimi scenami np. są: rozmowa p. Zagłoby z Rochem Kowalskim na wozie, regimentarstwo p. Zagłoby, scena między Kuklinowskim a Kmicicem i i.

Sienkiewicz był jednym z tych, który doczekał się, że jego „książki zbłądziły pod strzechy", nakazując miłować ziemię zalaną potopem wrogów i wierzyć mocno w przyszłość, w zmartychwstanie. Był nauczycielem narodu, wskazywał na potrzebę doskonalenia się wewnętrzngo, ciągłej pracy nad sobą, gotowości do składania wszelkich ofiar na ołtarzu Ojczyzny.

On, jak Skarga, poucza, zaklina, a nadziei więcej wlewa w serce, niż rozpaczający nad upadającym królestwem kaznodzieja, gdyż pokazuje, jak z najstraszniejszej toni zdołał się naród wyratować.

Posłuchajmy jeszcze, jak na pytanie, skąd ta popularność dzieł Sienkiewicza, odpowiada Antoni Potocki:

„Oto przez tłum postaci, ówczesnej, bogatej beletrystyki przedziera się ku przodowi ów zbrojny lud, ów pełen chrzęstu stalowego, olśniewający czerwienią krwi i barwny pancerny huf. Jakby gromada orłów nadlatywała — tak pierzcha nagle wszelkie inne widzenie w uwadze ogółu, zachwycone oczy już się nie oderwą od tego orszaku. Konno, zbrojno, zgiełkliwie i rojnie jawi się ono pospolite ruszenie starej szlachetczyzny. Harców tych wzrok nawet nie spamięta — zatrzyma tylko upojenie tej kaskady barw jaskrawych i bogatych, a z nieopisanego zgiełku form i ruchów wynurzające się na zawsze znajome twarze i postacie.

Oto Zagłoba, Ulixes szlachecki, rechocze homerycznym śmiechem nieopodal dzbana, oto surowy kontur Podbipięty z zerwikapturem, oto Kmicic — Don Żuan sarmacki w jasyrze

dziewiczym, oto Skrzetuski wsparty na mieczu: takich widziałeś na rycerskich grobowcach, oto Rzędzian naiwnie przebiegły i obrotny, oto w ciemię bity Roch Kowalski, dzicy Kiemlicze, oto zwinny, buńczuczny Wołodyjowski.

A przed tym stalowym wałem rycerstwa, jakby zstąpił z portretu — hetman Jarema."

W tejże chwili czujemy, że nic nam po historycznej prawdzie szczegółowej, że tu, w obrazie tym zbiorowym czasów i ludzi — jest prawda epoki powszechna, całkowita. I rozwiać się musiała beznadziejność i rezygnacja, spowodowana upadkiem powstania 1863 roku. Wobec takiego obrazu zblednąć musiały te z haseł pozytywistycznych, które zalecały lojalizm w stosunku do rządów państw zaborczych. Jest cała prawda w tym cudzie wskrzeszenia ówczesnej Polski.

I nie zdziwi nas fakt, że w plecakach żołnierzy polskich tak z wojny światowej, jak walk późniejszych znajdywano tomy Trylogii Sienkiewicza.

Wielka zasługa Sienkiewicza leży w tym, że stowrzył bohaterów, którzy wskazują drogę do doskonałości, i każą iść jasnym szlakiem wszystkim patrzącym na ich czyny.

Ta zasługa nie tylko wobec Polaków, lecz wobec całej kulturalnej ludzkości nie będzie zapomniana.

Stworzył jeszcze Sienkiewicz dwa dzieła historyczne: znane wszystkim „Quo vadis" (1896) i „Krzyżaków" (1897 — 1900). Sienkiewicz był pisarzem wszechstronnym, obejmował wszystkie dziedziny życia. Żadne dążności i uczucia narodu, choćby najbardziej subtelne, nie uchodzą jego uwagi.

Znalazł on klucz do najbardziej tajemnego życia, współczesnego pokolenia; potrafił zbadać wszelkie niedomagania, bóle, troski i lekarstwo na nie przepisać. Do wszystkich warstw społeczeństwa się odzywał, przeniknął tajniki duszy każdego wieku i każdej sfery społecznej. Nie zapomniał też o młodzieży, przeznaczając jej napisany w 1910 — 11 r. piękny utwór: „W pustyni i w puszczy". Za ten dar wdzięczne dzieci nie tylko z Polski, lecz także z obcych krajów przesyłały wielkiemu budzicielowi ducha zbiorowe adresy dziękczynne.

Sienkiewicz od chwili wystąpienia na widownię nie spuszczał ręki z pulsu życia narodowego. Jego talent się nie przedawniał, nie zużywał, ale szedł w zgodzie z wymaganiami czasu.

Bolał przed śmiercią, że już nie ujrzy polskiej ziemi.

Przyjęła go ziemia wolna, niepodległa, z której wyrósł i którą ukochał.

A. G., G. P. H. S.

Czy wszyscy się zgadzamy?

Odpowiedź na artykuł dyskusyjny „Patriotyzm".

W dziale dyskusyjnym znalazły się tym razem artyku.y, które mogą i powinny wywołać dyskusję na łamach „Świata Szkolnego". Nie wierzę bowiem, aby wielu było podobnie myślących i zgadzających się z założeniem i rozwinięciem pojęcia patriotyzmu kol. Kulisiewicza. Sprawa ta — jak mi się zdaje — potraktowana jest zbyt jednostronnie i płytko. Gdzie i kiedy wyłania się pojęcie patriotyzmu nie trudno dociec. Świadomość istnienia tej kwestii przyszła zapewne wraz z powstawaniem społeczności.

Co rozumiemy przez patriotyzm?

Przez pojęcie patriotyzmu rozumiemy gotowość służenia Ojczyźnie nie tylko wtedy, gdy zajdzie potrzeba. Ta gotowość każe nam służyć codziennie myślą, mową, pracą i modlitwą. Patriotyzmem zatem nazwiemy miłość kraju, świadomość przynależności do narodu i państwa, świadomość wspólności interesów, poczucie odpowiedzialności, wypływające stąd i wyzbycie się egoizmu.

W założeniu tego pojęcia umieszcza kol. hasło: „Swoje kochać — cudze szanować należy". Istotnie, piękne to hasło, lecz nadto utopijne i, jak doświadczenie wskazuje, nie dające się przenieść na płaszczyznę polityki.

Miłość i szacunek nie zawsze i nie wszędzie istnieć może — to trzeba wiedzieć, a nie od rzeczy także będzie uświadomienie sobie i wyrobienie zdolności rozróżniania, co godne jest szacunku, a co nie — co dyktuje nienawiść a co miłość Ojczyzny!

Ubolewa kol. nad tym, że „niestety w czasach dzisiejszych p o j ę c i e patriotyzmu zostało w wielu wypadkach spaczone", że jego miejsce zajął szowinizm.

Jako przykład szowinistycznego działania podaje kol. wojnę włosko-abisyńską. Echa tej niedawnej wojny nic mi jednak o szowiniźmie nie mówią.

Walka o dobro narodu — bo to miał chyba Mussolini na względzie, wysyłając armię „w bezwodne piaski Afryki" — chęć zdobycia placówek pracy, chęć rozwiązania kwestii bezrobocia i w tym celu prowadzona walka na terenach leżących odłogiem w każdej dziedzinie — nie jest podyktowana przez szowinizm.

Wojna włosko-abisyńska nie została podyktowana źle pojętym, zwyrodniałym patriotyzmem — jak go kol. w swej tendencyjnie pacyfistycznej rozprawce nazywa.

Przeciwnie — działał tu wyjątkowo dobrze pojęty patriotyzm. Bo jeśli, dajmy na to, istnieją dwie ostateczności: albo samemu zginąć — albo zabrać teren wolny lub niezorganizowany, śmiesznym byłoby wybrać to pierwsze. Włochom groziło niebezpieczeństwo od wewnątrz. Niebezpieczeństwem tym było przeludnienie kraju, a co za tym idzie — brak warsztatów pracy — bezrobocie — nędza.

Czyż zatem ekspansji, zdobywania terenów mogących zaspokoić jedoncześnie potrzeby gospodarcze i ludnościowe nie uznamy za logiczną konieczność?

Roztkliwia się kol. nad czarnym wojownikiem, a nie zdaje sobie z tego sprawy, że ten „biedny czarny“ ma zbyt mało rozwinięte poczucie przynależności narodowej i jednakowo dobrze czuje się pod panowaniem Włochów, jak i Negusa.

Tylko te narody mają prawo do życia, do rozwoju, do samodzielności, które mają warunki bytu. Kochać ojczyznę można wtedy, gdy ona istnieje, — szanować cudze — jeśli godne jest szacunku.

W Polsce dzisiejszej jedną z aktualnych spraw, jest zdobycie kolonii, a przez to uzyskanie rynków zbytu i terenów bogatych w surowce. Jeśli to nasze marzenie wcieli się w czyn — to z pewnością pociągnie za sobą opanowywanie cudzych terenów, wynaradawianiem, bo chyba najnaiwniejszy z naiwnych nie sądzi, że terenów tych szukać będziemy na księżycu, który może być niezamieszkały przez ludzi i nikomu przez to nie uczynimy krzywdy.

Nieszowinistyczne byłoby coprawda takie roztsrzygnięcie sprawy, tylko kwetsia komunikacji byłaby skomplikowana!

Jeśli przyszłoby nam patrzeć na rozwój potęgi państw pod kątem widzenia kol. Kulisiewicza — to nie moglibyśmy powiedzieć tak, jak on, że Polacy nigdy nie byli szowinistami, że nie budowali potęgi własnej kosztem innych narodów. Zaprzeczyłby temu hitsorycznie, agresywność nasza, podboje i zdobycze Chrobrych, Jagiellonów, Batorych i Żółkiewskich. A jednak tego nie nazwiemy wypływem szowinizmu, „który każe nienawidzieć wszystko, co nie nasze“. Taki jest los państw małych, słabych, społeczności niezorganizowanych, że zawsze ulegać muszą potęgom dopóty, dopóki nie zdolne będą same stanowić o sobie, dopóki nie potrafią wyłamać się z pod tego porządku.

Gdy dzisiejsze państwa opanowują tereny nisko stojące kulturalnie i gospodarczo, pozostawiając przytym wolność wyznania, używania języka ojczystego i pewną autonomię — to czy nazwiemy takie postępowanie szowinistycznym? Nie. Nie wyrzekajmy także przeciw wojnie, nie przerażajmy się tym „krwawym widmem“ — to do niczego nie doprowadzi.

Przyznać trzeba, że wojna to *malum* — ale *malum necessarium.*

Nasza etyka narodowa nie zna nienawiści, ale zna konieczność zachowania bezpieczeństwa i możności rozwoju narodu. Prowadząc zaś Polskę po drodze mocarstwowego rozkwitu nie raz zetkniemy się z koniecznością orężnego wystąpienia i młodych przygotować należy, aby potrafili stawić czoło wszelkim przeciwnościom. Nie zachęcajmy do pozowania na baranki ciche i pokornego serca wtedy, gdy sąsiedzi nasi są wilkami, bo źle wyjdziemy na tym. Nie wołajmy „Precz z szowinizmem!“ Aktualniejsze będzie hasło: do pracy nad uświadomieniem! Kształćmy się, wyrabiajmy w sobie siłę — zdobędziemy szacunek i stanowisko!

W. O., G. P. J. S.

Drogowskaz (odpowiedź na art. „Niepokój“).

„Co masz czynić“ — pytasz, „Jaka jest twoja przyszłość?“ Nim odpowiem, — jedno stwierdzam: w twym sercu n i e m a B o g a. Miara złego i dobrego, którą ci przekazali ludzie, — jak sam mówisz, — nie nadaje się do użytku. Bo miara to ludzka jedynie!... Jest miara boska, przedziwna, prawdziwa, miara prawie dla nas niepojęta, jest Wszechmądrość Boga, nad światem panująca. Miara złego i dobrego z tej Mądrości płynąca rządzi światem. Zdaj się na Wszechmądrość, bo gdy nawet Boga w swym sercu odnajdziesz, wiele jeszcze cierpień głowę szronem ci przyprószy, wiele cierni stopy ci porani, nim miarę boską pojmiesz i w życiu zastosujesz.

Nie wiesz, czy właściwą idziesz drogą. — Odnajdź Boga w sercu swoim — On jest „Prawda, Droga i Żywot“.

W prawo pięści wierzysz jedynie, mówisz, że siła rządzi światem. Jest tak, — to prawda. Ale nie musi tak być! Czynem pokaż, że nie Siła, lecz Miłość ma panować! A jeśli ten obowiązek spełnisz, bądź spokojny, bo nagrodę w Bogu znajdziesz. Czymże to krótkie pasmo życia ziemskiego, wobec szczęścia wiekuistego? Pyłkiem wobec Wszechświata.

Czy wiesz już „Co masz czynić“, „Jaka twoja przyszłość“? — Przyszłość twoja w Bogu; odnajdź Go i chciej odnaleźć. Powiesz może, że w Boga nie wierzysz. Krótka to niewiara, okres ten minie, minie napewno. Zrozumiesz, żeś prochem i niczym wobec Boga, pojmiesz swą małość, a niepokój zniknie bezpowrotnie.

Odnajdź Boga w sercu swoim!

Wszyscy, których dusze niepokój ogarnął, Boga szukajcie i odnajdźcie!

L. W., G. P. H. S.

Don Quichot z Częstochowy.

Czarne ołowiane chmury zawisły w groźnym oczekiwaniu nad ziemią.

Nagle wiatr zerwał się i z ogłupiałym świstem i chichotem uderzył o konary drzew. Ryknął piorun, a błyskawica rozjaśniła horyzont. „Żegnaj luby“, rzekła dziewica przypinając kokardę klęczącemu bohaterowi. „Żegnaj luba“, zawołał rycerz poprzez ryk piorunów i dosiadł ciężkiego pegaza. Z za węgła wyskoczyła jakaś pokraczna figura ze sterczącymi wąsikami i zawołała, wskazując palcem na wiatraki, widoczne na horyzoncie. „Tam atakuj, don Kichocie“. „Dobrze“, ryknął don Kichot, chwycił ogromną obsadkę z najeżoną stalówką i spiął ostrogą ciężkiego pegaza. W dali, w świetle błyskawic i zygzaków piorunów wiatraki wyglądały, jak groźne hufy. Don Kichot pędził jak szalony. Z rozwianym włosem, potężnymi barami i wściekłym obliczem pędził na urojone przeszkody... Nagle uderzył... Zakotłowało się w powietrzu, zadrżała ziemia i... jedno serduszko. Tymczasem Sancho Panso stał na pagórku i wpatrywał się z daleka w pióro tkwiące w starej ścianie wiatraku. Rozwiały się dymy, znikły chmury i błyskawice, a pióro tkwi w ścianie i tkwić będzie, ku radości i uciesze gawiedzi...

Kochany don Kichocie, nie miałbym przyjemności skrzyżowaniaz tobą piór, gdyby nie to, że atak twój na wiatraki, oprócz tego zawiera wielką dozę komizmu, jest szkodliwy, właśnie dla tych młodych kolegów i koleżanek, dla których zupełnie nie jest to „duchowa strawa“.

Gdy się mówi o moralności, kochany don Kichocie, trzeba być bardzo ostrożnym w powiedzeniach, gdyż inaczej wpada się właśnie w niemoralność. Bo nie noga, ani nóżka jest niemoralną, ale właśnie piśmidło przez ciebie wspominane.

(Dewotka). „Mówiąc właśnie te słowa „i odpuść nam winy, jako my odpuszczamy:“ biła bez litości (sługę). Uchowaj Panie Boże, takiej pobożności.“

Uchowaj, Panie Boże takiej moralności! Czyż ta bajka Krasickiego nie jest aktualną w tej chwili? Bo, kochany don Kichocie, niemoralnością jest wspominać „szmatę“ pornograficzną“ w piśmie szkolnym, bez należytej potrzeby. Że właśnie nie była to, broń Boże, strawa duchowa, świadczy rozmowa, jaką słyszałem w korytarzach szkolnych. „Czytałeś ty te „Wolne Żarty“, o których Kazio pisze, podobno morowe pismo“ mówił uczeń z pierwszej klasy do kolegi. Czy to ma być „strawą duchową polskiej młodzieży“? Don Kichocie! Wolno ci atakować wiatraki, wolno zdradzać ignorancję literacką, wolno się nawet ośmieszać, ale nie wolno z przyczyn błahych wspominać o pismach pornograficznych, robiąc im w ten sposób reklamę... A może jednak nasz don Kichot ma rację, może rzeczywiście są „zaczątki pornografii“ „wypociny (fe) nadmiernie wybujałej głowy“ i„śmiech kosztem wyzucia wstydu i uczuć moralnych z serc“.

Czytam więc ową niefortunną „Jego pierwsza miłość“. Czytam raz. Nietęgie — a nawet pod względem literackim zupełnie marne, ale tylu okropności znaleźć nie mogę. Jednakże musi być. Autor nie wyssał przecież z palca. Więc po wielu, wielu czytaniach... znalazłem: „widział zamiast krzywych trójkątów jej piękne nóżki...“

Jest nareszcie „zaczątek pornografii, śmiech kosztem wyzucia wstydu i naszych uczuć moralnych z serc“. (Chociaż niektórzy twierdzą, że jest owszem śmiech, ale kosztem zupełnie kogo innego.)

Nasz kochany don Kichot bawi się w donkichoterię tylko w tym artykule (jako dowiódł) ale znam ludzi, którzy takimi don Kichotami są w życiu. Jest to typ dewotek nie tylko w życiu religijnym, ale także w życiu moralnym, politycznym i społecznym. (Sancho Panso, o panu mowa). Wścibia swój nos zawsze tam, gdzie nie potrzeba, używa górnolotnych wyrażeń i frazesów, a najczęściej czołga po ziemi (Sancho Panso, o panu mowa.)

Lecz przystąpmy do „uwag o „Świecie“. — Takim charakterystycznym zdaniem dewotki jest: Poświęcenie jednego całego numeru „Świata Szk.“ ks. Skardze nie byłoby napewno za wiele. Kochany don Kichocie, ks. Skardze poświęca się o wiele więcej, niż jeden numer, poświęca się całe tomy ksiąg, które jednak i tak nie mogą ogarnąć geniuszu naszego wieszcza. Ale czy znalazł kolega nawet pismo czysto religijne, któreby cały swój numer poświęciło Skardze? Czy kol. by kupił taki właśnie numer i czy kupiłoby wielu? Czy poziom prac o Skardze przewyższałby poziom zadań szkolnych, czy wniósłby co nowego? Napewno nie, kolego! A jeżeli ktoś chce przeczytać poważną rzecz o Skardze, to znajdzie ją w bibliotekach i czytelniach. Więc po cóż kol. te słowa dewotki na wiatr, po co te szumne frazesy, kiedy kolega wie, że to jest rzeczą niemożliwą? Po co?

Ale, proszę państwa, nasz don Kichot jest także krytykiem literackim. Oto wyłowiłem z tej wodzianki kilka kęsków. — „W wierszu „Pewnego pisma szkolnego historia nie bardzo smutna“, autor oprócz tego, że nie liczy się z podstawowymi zasadami wierszowania (sic) przedstawia uczenice i uczniów w zupełnie ujemnym świetle.“ To jest satyra, kochany kry-

tyku, „satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka“ pisze Krasicki. A oprócz tego jestem ciekawy, jakież to są podstawowe zasady wierszowania, kol. Król?... Mam wrażenie, że kolega w tych sprawach jest okropnym ignorantem. A jeśli się nie ma o czym pojęcia, to nie trzeba zabierać głosu, mój don Kichocie, gdyż można narazić się na śmieszność.

Albo — „Moja najweselsza przygoda wakacyjna“ — opisuje całkiem prawdopodobne zdarzenie“ (sic). A jakież ma opisywać. Czy to jest zarzut, kolego Król, czy pochwała? A powiedzenie na mniej lub więcej udane parafrazy, że to jest „ściągnięte“, doprawdy jest śmieszne. Lecz czytajmy dalej. „Tak samo „Wiadomości Literackie“ nie umieszczają podobnie głupich artykułów. Ale co wolno pisać (?) w „Wiadomościach Literackich“ to nie zawsze można umieszczać w „Świecie Szkolnym“. Gdzież logika, don Kichocie, gdzie sens? Poprostu mam ochotę zapytać „Kpisz, czy o drogę pytasz?...“ Jednakże jest i dla mnie komplement. „Wielka szkoda, że praca ta („Jego pierwsza miłość“) została umieszczona w „Świecie Szkolnym“, który wskutek tego (sic) nie przedstawia żadnej wartości literackiej i treściwej“. Acha, gdyby się to głupstewko wycofało, to „Świat Szkolny“ byłby na poziomie! Dziękuję, dziękuję, don Kichocie, za ten komplement! Doprawdy, nie spodziewałem się, że ta drobnostka ma takie znaczenie.

Lecz dlaczego don Kichot obdarza mnie takim ogromnym zasobem komplementów, dlaczego mnie wspomina, aż cztery razy. I właściwie od tego pytania trzeba było zacząć. Pod płaszczykiem moralności, pod płaszczykiem wzniosłych ideałów autor załatwiał swoje porachunki ze mną. Porachunki poważne, gdyż podobno miałem go ośmieszyć w humoresce „Podłego typu“, chociaż nic oprócz imion i wielkich barów nie wskazywało, że bohaterem jest don Kichot. Atak uważam za słuszny i lubię ataki. Ale po cóż to było chować się pod płaszczyk moralności, po co było zaczepiać wszystkich, by we mnie uderzyć? Czyż nie poważniej by wyglądało takie załatwienie sprawy?

„Nieprawdą jest, jakobym ja, kl. VIII, ławka 5 rząd od drzwi, marzył na łacinie, natomiast prawdą jest, że tego nigdy nie robiłem. Nieprawdą jest... i t. d.“

Albo już taką prawdziwą zemstą, byłoby napisać na mnie humoreskę dziesięć razy złośliwszą. Wtedy i „Świat Szk.“ by zarobił i kol. by się zemścił. Prosimy, ja czekam. Ale kochany Kaziu, nie rób z siebie don Kichota, chyba chcesz, byśmy się solidnie uśmiali...

— — — — — — — — — — — — — — —

„Kunszt życia, sztuka życia polega także i na tym, ażeby umieć w porę umrzeć“ — pisze Nowaczyński. Zaiste, jest to wielka sztuka. A czy przypadkiem ty, biedny Żuczku, nie jesteś również don Kichotem, który powinien już zakończyć swój burzliwy żywot? Czyż nie atakowałeś dotychczas bezmyślnie wiatraków? Miałeś wielkie zamiary, miałeś swymi żuchwiami podgryźć korzenie pruderii, zakłamania, pochlebstwa i wielu innych pięknych roślin. Tymczasem cóż się stało. Ledwie zrobiłeś pierwszy kroczek, ledwie uderzyłeś o jeden najcichszy klawisz błahego humoru, a już obraziły się: I Gimn. żeńskie Słowackiego, „Nauka i Praca“, Zgromadzenie „Świata Szkolnego“ w osobie kolegi S. i... kol. Król.

A cóżby się stało, gdyby Redakcja zamieściła te artykuły, które poszły do kosza? Jaka burza, jakie pioruny uderzyłyby o ciebie, biedny Żuczku?

Zdzisław Żuk, G. P. R. T.

Scandalum pharisaicum

CZYLI MOJE UWAGI O „MOICH UWAGACH“ KOL. K. KRÓLA.

Nie wiedziałem, co mam bardziej podziwiać: hipokryzę, czy tupet i arogancję, z jaką kolega zaatakował Żuka i mnie.

Takie zwroty, jak „ohydne, niemoralne, głupie artykuły“, „zaczątki pornografii“ itd. itd., są używane, ale nie w dyskusji koleżeńskiej. Podobnie namiętne i bezceremonialne napaści czyta się w pismach o diametralnie różnych poglądach politycznych.

I żebyż było o co. Kolega K. ubrał się w nieskalanie białą togę obrońcy moralności, stanął przed lustrem i począł ciskać gromy na demoralizatorów. Maluczko, a byłby nas o komunizm posądził, „Świat“ do „Płomyka“ przyrównał i na indeksie umieścił. I o co?

Niechże się kolega K. uderzy w piersi i powie szczerze, ile razy był na wagarach i czy zawsze zachowywał się, „jak przystoi na człowieka myślącego poważnie o pracy społecznej“ (słowa wyjęte z „Moich uwag o „Świecie Szk.“

„Kto jest bez winy, niech rzuci we mnie kamieniem.“ Powrócę na chwilę jeszcze do sprawy moralności. Jestem pewien, że dopiero po przeczytaniu artykułu kol. K. „młodsze koleżanki i koledzy“ poczęli się doszukiwać w inkryminowanych przez kolegę pracach rzeczy okropnych, których tam oczywiście nie było i nie ma.

Zarzuca mi kolega, że się nie liczę „z podstawowymi zasadami wierszowania“. Nie wypada mi nic innego uczynić, jak uchylić czoła przed „królewskim“ majestatem częstochowskiego krytyka. Jedno tylko skromnie podam na swą obronę. Chciałem mianowicie, by w tej satyrze i rymy same były satyrą, zresztą na sa-

mym końcu uczyniłem wyznanie, którego kol. K. zapewne nie umiał z łaciny na polski przetłumaczyć.

To wszystko.

A teraz co do końcowego apelu. Zgadzam się z nim najzupełniej i, chcąc dać dobry przykład, wyciągam do Was, kol. K., rękę „uzbrojoną“ w opłatek wigilijny. Przełammy się nim i uściśnijmy się po bratersku. Niech znikną nieporozumienia i spory. Niech zapanuje zgoda i ogólna chęć podniesienia poziomu kochanego „Świata“.

Było z nim źle, jest lepiej ,a będzie jeszcze lepiej, jeśli się tylko weźmiemy do pracy, czego koledze Królowi, koleżankom i kolegom, a także sobie samemu życzy *ajax.*

Na marginesie „Ludzi bezdomnych“.

Książka Żeromskiego p. t. „Ludzie bezdomni“ nie jest rzeczą nową, ani nieznaną, tym bardziej, że należy do „żelaznego repertuaru“ nauczania w szkołach średnich. Jednakże główny bohater, dr. Judym, jest pod względem psychologicznym jednostką tak ciekawą, że ocenę tej postaci, jej celów i dróg, jakimi do nich dąży, uważałem za potrzebną na łamach naszego pisma.

Dr. Judym, syn ubogiej szewskiej rodziny, która napewno swoje obywatelstwo określała „my z ulicy Ciepłej“, przez całe życie nosi na sobie to „szewstwo“ jako piętno. Jest to niezawodnie człowiek o silnym charakterze, ale zdeklarowany maniak. W początkach swojej kariery stawia sobie za zadanie uszczęśliwienie najbliższej rodziny, później rozszerza te zamierzenia na ulicę Ciepłą, a następnie, wskutek za długich, moim zdaniem, nad tym rozmyślań, na cały świat.

Jego mania uszczęśliwienia ludzkości nie daje mu wprost spać. Chce swój plan jak najprędzej wprowadzić w życie. Czyni to rozmaicie; raz sposobem „szewskim“ wpychając ludzi w błoto, drugi raz trochę kulturalniej.

Początkowo był on właściwie nieszkodliwym maniakiem, lecz później zabiera się do uszczęśliwiania ludzkości „pełną parą“, a zaczyna od tego, że robi nieszczęśliwymi dwie osoby: siebie i Joasię, nie uszczęśliwiając przez to nikogo. Zastanówmy się przez chwilę nad postępowaniem tego człowieka.

Cel, do którego Judym dąży, jest utopią. Bo czyż można przypuszczać, aby jeden człowiek mógł uszczęśliwić cały świat?

Tysiąc dziewięćset trzy lata temu jeden Człowiek zbawił świat, ale On był Bogiem.

Można zgodzić się na to, że gdyby wszyscy ludzie bogaci na całym świecie zaczęli raptem tak myśleć, jak Judym, może by coś z tego było, ale takie dążenia dla jednego człowieka jest utopią.

Pomińmy już jednak nieosiągalność samego celu. Drogi, jakimi kroczy Judym do niego, a zwłaszcza końcowy postępek, nie tylko mogą służyć za obronę powiedzenia, że jest on maniakiem, ale pozwalają go wprost nazwać wariatem. Przez swój postępek unieszczęśliwia siebie i Joasię, nie dając nic nikomu. A przecież małżeństwo jego z Joasią nigdy nie mogłoby zaszkodzić jego pracy, przeciwnie, mogłoby mu ułatwić życie, dając ucieczkę przed walką dnia codziennego.

Dlatego też nie można Judyma nazwać inaczej, jak maniakiem, a postępowanie jego należy uznać za wręcz szkodliwe.

Wicz, G. P. H. S.



W...

Tęsknico moja cicha, daleka Tęsknica,
Przychodzisz do mnie codzień, przychodzisz i wołasz
I zjawy blasków sennych rozsuwasz dokoła,
A ja wiem, że nie dognam ich, że ich nie schwycę...

Bezszelestna spowijasz skronie rozpalone
I na spragnione usta obietnicą spływasz.
Dziś marzę, kocham i... może będę szczęśliwy —
Lecz Tyś jest wiecznie przy mnie nieznana, szalona...

Niesytu szare głębie patrzą w mojej duszy —
Pragną coraz to nowych, nieznanych zdobyczy
Tylko drżę, by w głąb patrzyć — i z sobą się liczyć...
Lękam się, że ołtarze te tchnieniem pokruszę...

Szukam gwaru i życia, by Ciebie zapomnieć,
Tęsknoto nieukojona — lecz dziś już nie mogę,
Przyszło Nieznane — stanęło mocno koło mnie...
Nie mogę odejść hen! — przeszedłem cudzą drogę...

Powrotu dla mnie nie ma.. Zostaję i czekam,
Czy mych lotosów pąki w kwiaty się rozwiną —
Ale gdybym precz, w inne strony musiał płynąć
Do Ciebie pójdę smutny — Tęsknoto daleka!...

T. K., G. P. H. S.

Droga bez powrotu...

W...

Hen! z wędrownymi ptaki myśl moja miała ulecieć
Do słońca południowego — hen! daleko, daleko...
Lecz ja już nie powrócę, by błądzić po tamtym świecie —
„Przeszedłem na brzeg drugi — mosty spaliłem rzekomé“.
Z tej strony nie ma powrotu — ta strona nie ma granic,
Jeżeli kto tu raz będzie — ma tylko drogę jedną —
Otwartą i nieruchomą drogę w mroczne otchłanie,
W pustki bezsłowne, szare i skamieniałe bezgwiezdnie...
Te słowa już nie popłyną splecione tęsknot rytmem,
Uroków niezmożonych brak im i wykrzyknień nowych —
Zostanie ze mną cisza... różowe lotosy kwitną...
Modlę się spojrzeniem oczu — niepotrzebne mi słowa!...

T. K., G. P. H. S.

Inaczej...

W...

Pieśni poczęte w słońcu, w blaskach jesieni złotych,
Nie zabrzmią słowem ostatnim przeczystej tęsknoty.

Cień szary, cień bez twarzy padł na jasne rytmy,
że więcej radości słońcem nigdy nie zakwitną...

Smutek cichy wyciągnął swe ramiona do mnie,
A ja nie mogę odejść — a ja nie moge zapomnieć.

Zdaleka wabią mię oczy Nicości bezkresnej zielone
I jakaś melodia bez nazwy w duszy cichutko dzwoni.

U wrót stanęła Niedola — dłonie wyciąga żebracze,
A mnie żal dławi dlatego, że... wczoraj było inaczej...

T. K., G. P. H. S.

WYCIECZKA DO SZKOŁY SPECJALNEJ DLA UPOŚLEDZONYCH W CZĘSTOCHOWIE

Chcąc poznać odchylenia od normy i cechy fiz. dzieci anormalnych, lub cofniętych w rozwoju psychicznym, urządziłyśmy wycieczkę do Szkoły Specjalnej dla upośledzonych. Wchodzimy do oddziału II-go. Klasa niska, ponura. Na ławkach chude, niskie postacie o zaniedbanej powierzchowności. Twarze blade, apatyczne, o tępym wyrazie. Są tu chłopcy i dziewczynki w wieku lat 13. Chodzą już przeciętnie 7-my rok do szkoły. Niektóre dzieci przyszły ze szkół powszechnych. Nawiązuję kontakt z nimi. Jedne spoglądają na mnie nieufnie, niechętnie odpowiadają na pytania, drugie znów, wpadając w ostateczność, rozmawiają, jak z dobrą znajomą, pokazują mi zeszyty. Podchodzę do ładnej blondynki o dużych, niebieskich oczach. „Jak się nazywasz“. Zamiast odpowiedzi słyszę chichot. Zadaję jej inne pytanie. Opowiada słowami bez związku przy akompanjamencie ciągłego chichotu. Widzę, że dalsza rozmowa jest bezowocna.

Zawiązuję znów pogawędkę z chłopem, izraelitą, którego iloraz inteligencji = 37. Jest najbardziej cofnięty w rozwoju psychicznym. Jego wygląd zewnętrzny wskazuje, że żyje w bardzo opłakanych warunkach materialnych. Chłopiec wstydliwie opuszcza głowę, odpowiada niechętnie, lub wcale. „On nie umie mówić po polsku“ — informuje mnie jego sąsiadka. Nie bierze w niczym żadnego udziału, niczym się nie interesuje.

Hospitujemy oddział III. 16-tu chłopców, 10 dziewcząt. Są to dzieci ze sfer najuboższych, robotników, bezrobotnych, tragarzy. — Chodzą też przeciętnie 7-my rok do szkoły. Na widok nieznajomych zasłaniają się rękoma. Jak bardzo są lękliwe świadczy fakt, że gdy nauczyciel wywołuje na środek klasy, dzieci chowają głowy pod ławkę i nie chcą z pod niej wyjść. Oglądamy zeszyty do rysunków. Niektóre ilustracje są ładne i bardzo ciekawe.

Rozmawiam z chłopcem, który ciągle wyrywa się i żywo interesuje się lekcją. Przyszedł z III-go oddziału szkoły powszechnej. — W ciągu rozmowy trudno dociec, czego mu brak, co mu dolega. Na pozór zupełnie „normalne“ dziecko. Z ławki wybiega chłopiec, który podchodzi do każdej z nas i pokazuje z dumą swe ilustracje. „Proszę pani, to ja zrobiłem“. A gdy się go pochwali, z zadowoleniem wraca na miejsce.

Hospitujemy oddział I. Są tu dzieci, które nadają się nie do Szkoły Specjalnej, ale raczej do zakładów zamkniętych. Np. Zenek, typ idioty, który nic nie umie i nic nie potrafi zrobić. Twarz jego jest dziwnie zniekształcona. Skóra sucha, pofałdowana, twarz raczej małpy, niż człowieka, z zajęczą wargą. Gdy mówi, z ust wybiega bełkot. Drugim takim chłopcem, którego twarz ma cechy fizycznego zwyrodnienia jest Władek. Chodzi już 7-my rok do szkoły, ale niczego się nie nauczył i nic

z niego nie będzie. Naszą uwagę zwraca Halinka, wysoka i dobrze zbudowana, 14-letnia dziewczyna. Jest zupełnie anormalna. Co parę minut wychodzi z ławki i na wszystkie pytania mówi: „Ja mam w domu to samo, — ja to przyniosę". Jest bardzo impulsywna i przeczulona. Gdy jej sąsiadka powiedziała, że Halinka czegoś zapomni, ta uderzyła ją.

Po hospitacji mamy ciekawą konferencję z p. kierownikiem. Zaznajamia nas z organizacją nauczania i wychowania dziecka anormalnego lub cofniętego w rozwoju psychicznym.

Do Szkoły Specjalnej kieruje się dzieci, których iloraz inteligencji = od 35 — 70. *)

*) Iloraz inteligencji dziecka normalnego — 100.

Dzieci, których iloraz inteligencji = poniżej 35 kieruje się do zakładów zamkniętych.

Program nauczania jest ten sam, co w szkole powszechnej, tylko skrócony. Dzieci bardzo lubią bajki, rysunki i śpiew, niektóre z nich jednak niczym się nie interesują. Rachunki stoją na bardzo niskim poziomie. — W I oddziale uczy się dzieci liczyć do 10-ciu, w II do 20-tu, w III do 100-tu, tabliczki mnożenia nie można nauczyć. Dzieci są bardzo impulsywne, wzajemnie się biją, kradną bardzo często, a kłamstwa są na porządku dziennym. Mimo to dzieci nie moralizuje się. Cały plan wychowawczy ściśle związany jest z nauczaniem. Z czasem poziom dziecka upośledzonego może się wyrównać z poziomem dziecka normalnego., ale to są bardzo rzadkie wypadki. Praca na terenie Szkoły Specjalnej jest trudna i prawie bezowocna. Nauczyciel jest narażony w każdej chwili na niebezpieczeństwo.

Opuszczamy ten ponury budynek z uczuciem litości i współczucia dla dzieci, które natura tak bardzo skrzywdziła.

S. G., P. S. O.

Bez pracy.

Purpurowe zorze rozpostarły się na granatowym tle nieba, napełniły świat ognistym blaskiem, zaróżowiły szyby małych okien, ukrytych pod strzechami. Drzewa stały nieruchomo i tylko najmniejsze gałązki drgały lekko. Wróble kręciły się niespokojnie pod strzechą, szukając miejsc na spoczynek, ludzie ściągali do chat zmarznięci i głodni. Z pól napływało mroźne powietrze, że aż w piersiach dusiło. Razem z podmuchami wiatru dolatywały tęskne głosy zwołujących się kuropatw. Gdzieś pod Borkiem rozbrzmiewał co chwila głośnym echem dzwonek. Pilica skuta lodem odpoczywała cicho, a z nią odpoczywał w milczeniu mchem porośnięty młyn.

W stodołach domłócano ostatnie „sodzki". Żyto sypało dobrze, ziarno pryskało w spocone twarze, chłopi grzmocili mocno, dobywając ostatnich sił, że aż ściany trzęsły się od huku i gązwy wytarte piszczały. W szopach przygotowywano słomę na sieczkę, a gdzie niegdzie słychać było swawolne śmiechy młodzieży, rżnącej sieczkę.

Opłotkami szła gromadka ludzi; kobiety, otulone zapaskami, mężczyźni w czapkach baranich na głowach. Nieco z boku wlókł się starszy, zgarbiony człowiek. Z trepów, z których wychodziły dziurami wiechcie słomy, wyglądały zaczerwienione od mrozu pięty. Często zacierał skostniałe ręce i zapinał pod szyją rozchełstaną koszulę. Twarz miał czarną, nieogoloną, pooraną zmarszczkami, tylko małe oczy świeciły gorączkowo w mroku. Ludzie szli po wypłatę do dworu. Na myśl o pieniądzach robiło im się błogo w duszy. Naczekali się długo na ten dzień. Ale im się przecież sumiennie należy. Harowali bez cały miesiąc. W myśli obliczali, ile się komu należy, co za to sprawi, na co użyje.

— Choćbyś nawet sto złotych dostoł, to i to by ci się rozleciały w mig. Ale jak dostanies 15 złotych, to ani nie wies, na co je podzieć.

— żeby to dziedzicka chciała trochę podwyższyć, to by się ta może uciułało grosa przez cały rok. Ale 60 grosy na dzień, to tyle znacy, co mucha lo psa.

— Dobre i tyle. A jakbyś wcale ni mogła zarobić, musiałabyś z torbami iść, kiej ten dziad prosalny.

— Juści. Przeciem nie gospodarsko córka, ale wyrobnica.

— A kraść byś nie posła. To ino w miastach dajom przezrobotnym ludziom zapomogi.

— Juści co dajom. Wojtasików Jasiek, co sie łóni ożynieł z jednom łyckom i chodzieł downi do fabryki, tez dostaje zapómogę. I — powiado — dobrze mi. Źmioki dadzom, mąki i cukru dadzom, nieroz i ubranie kupiom i siedzi sie, jak u Pana Boga na przypiecku. A we wsi to kómu dajom?

— Hale, dajom. Wziąć to by umieli, a podotek duży ściągnąć tez, ale o zapómodze... ee...

— A widzita, ze France Kaźmierkowy przy chodzi co miesiąc od gminy 15 zł. I mo baba. Wylezy się za przypieckiem, nazre się chleba, ile ino chce, a próźniok, ani się nie tchnie roboty.

— Widzieliście jom! A gdziez to takom głupiom zostawiom tak na Boży łasce. A toćby juz suminio ni mieli i grzechu by sie nie boli.

— Bogać ta majom.

Rozmowa się na chwilę przerwała, gdyż jakiś pies wyskoczył zza wrót, ale wnet uciekł;

posypały się na niego grudki ziemi i przekleństwa, a złorzeczenia.

— Jucha, ludzi spokojnych bedzie po drodze sarpoł!

Byli już blisko dworu; ów trzymający się na uboczu człowiek zwolnił kroku i pozostał w tyle. Kurczył się od mrozu, zasłaniał od śniegu, który wiatr zmiatał z dachów i dął mu za kołnierz. Dd trepów nasypało mu się śniegu.

Zciemniło się już na dobre. Tu i tam słychać było skrzyp żórawi, a na podwórzach ukazywali się gospodarze z latarkami. „Zadowali bydłu", nosili „źmioki" z kopców lub piwnic na jutro, a opieszali rąbali pośpiesznie drwa. Niebo zaiskrzyło się tysiącami gwiazd. Psy pospuszczane z łańcuchów poczynały szczekać, gdzieś w „glinionkach" chłopcy łapali wróble.

— Nie pójde jesce. I to trza cekać na kolejke. Wejde do jaki chałpy, moze pómogę trochę siecki urznąć, drzewa urąbać, nawet źmioków naskrobać...

I nie poszedł. Skręcił uliczką ną prawo i po „zastodolu" zbliżał się z powrotem do wsi. Śnieg chrześcił mu pod nogami, a w głowie kołowały przeróżne myśli.

— Trza chałpe obielić na Gody, ze dwie strucle na wigilijom, meter źmioków dokupić, Józkowi ksiązke na jarmarku kupić, bo nimo na cym sie ucyć, a i mnie butyby sie zdały... Nie starcy na wszystko, w zoden sposób. Jo to sie tam jesce obede bez butów, ale...

Tu i ówdzie zajrzał przez dziurę do stodoły, ale jakoś nigdzie nie wszedł. Wreszcie zatrzymał się przed dosyć wysoką chałupą, omiótł starannie trepy przed sienią i niepewnym krokiem wszedł do wnętrza. Na szczęście kąt przy piecu nie był zajęty, gdyż wszyscy słuchali opowiadania dziewuch przy stole. — Przysunął się więc do pieca, rozgrzał skostniałe ręce, a wreszcie rozmarzony ciepłem począł się kiwać i zasypiać. Kiedy tam on siedział przy takim kominie! Drzewa ino tyle starczyło, co na ugotowanie żuru, a i to nieraz musiał gdzieś ukraść w nocy, bo stale brakowało.

Przy stole mizdrzyły się dziewuchy, śmiały, dogadywały, poprawiały czerwone chustki na głowie. Kołowrotki warczały monotonnie, a z pod ślinionych palców wiła się nić długa, mocna. Dwie darły pierze i słuchały opowiadania gospodarza, a niekiedy szeptały cicho, lub chichotały się skrycie.

Biedak ocknął się nagle z powodu wielkiego wrzasku, uczynionego przez dziewuchy. — Oto we wróżbie z lnianych kulek wyszedł jednej z dziewuch Jantóni, jako przyszły mąż.

— A to by ci Ludwina łocy wydrapała, jakbyś ji odbijała chłopa.

Biedak oprzytomniał całkiem, gdyż to właśnie o nim była mowa; przypomniał sobie, po co tu przyszedł i cicho począł prosić starą Grancynę o jaką pracę dla siebie, albo dla żony Ludwiny. Dała mu trzy pakuły kłaków, woreczek pierza i już z góry zapłaciła za pracę mąką pszenną na placek świąteczny, śliwkami suszonymi, a nawet wianuszkiem grzybów. Podziękował pięknie, pocałował ją w rękę i pośpiesznie wyszedł, dążąc do dworu po wypłatę. W mig przebył dość dużą drogę i znalazł się na ganku dworu. Wreszcie stał przed okienkiem kasy, czekając niecierpliwie na pieniądze. Wypłacił mu kasjer wszystkie, co się rzadko zdarzało, a w końcu powiedział:

— Od jutra nie przychodźcie Jantóni, bo już nima roboty ani w polu, ani w podwórzu. Zresztą co z was za robotnik, ledwo się trzymacie na nogach.

Jantóni zgarnął machinalnie pieniądze i ukrył w szmatce w zanadrze. Zakołowało mu w głowie, począł się chwiać i omal nie upadł na schodach ganku.

— Co teraz pocznie, co da żonie i dzieciom?

Usiadł pod płotem na śniegu, twarz zakrył rękami i płakał...

J. Fatyga, III-b G. P. H. S.

Problem polskich kolonii.

Żyjemy w czasach bardzo ciekawych, w czasach przełomowych, jesteśmy świadkami wielu wydarzeń politycznych, które odgrywają wielką rolę w kształtowaniu się ducha społeczeństw europejskich. Z niezwykłym zaciekawieniem obserwowano podbój Abisynii przez faszystowskie Włochy, prawie każdy interesuje się wojną domową w Hiszpanii, oburza nas polityka hitlerowskich Niemiec względem Gdańska.

Obecnie w Polsce dużo mówi i pisze się w prasie o koloniach polskich, które teraz są nam potrzebne, a w niedalekiej przyszłości staną się koniecznością, tak, że nie będziemy się mogli bez nich obejść. Polska jest krajem o przyroście naturalnym ludności, wynoszącym 400 tysięcy rocznie; obecnie w państwie naszym przypada 87 mieszkańców na kilometr kwadratowy. Za kilkanaście więc lat, jeśli przyrost naturalny ludności będzie taki sam, Polska stanie wobec kwestii przeludnienia. — Będziemy zmuszeni szukać nowych terenów dla naszej ludności.

Państwa posiadające kolonie są bogate i z biegiem czasu stają się mocarstwami, bowiem z kolonij czerpią ogromne zyski eksploatując płody kolonialne i hodowlane. Tak robi Anglia, Holandia, Belgia i inne kraje, które

rozumieją, czym są dla narodu kolonie, jak wielki przynoszą pożytek. Do tego czasu Polska nie starała się o kolonie i nie myślała nawet o nich, ponieważ nasz kraj mógł pomieścić zamieszkującą go ludność i dać jej wyżywienie i zatrudnienie. Obecnie, kiedy widzimy grozę przeludnienia naszego państwa, kiedy nie jesteśmy w stanie zapobiec wzrastającej liczbie bezrobotnych, wysunięto problem polskich kolonij. Także ze względu na niedostateczną ilość płodów kopalnianych problem kolonii jest dla nas bardzo ważny. Trzy są możliwości uzyskania przez Polskę kolonij: 1) penetracja pokojowa, 2) rewizja mandatów, 3) droga zbrojna.

W pierwszym wypadku należałoby na terenie, zamieszkiwanym przez ludność o niższym stopniu kulturalnym i cywilizacyjnym, osiedlić polskich rolników, rzemieślników, kupców, lekarzy i t. d. W ten sposób w przeciągu lat ludność owa przesiąkłaby zupełnie polskimi wpływami, polską kulturą i cywilizacją. Wzamian za danie tej ludności wyższej kultury mieliby Polacy warunki życia. Polski handel i przemysł posiadałby rynek zbytu, rozwijałaby się także polska flota morska, wzrósłby ruch handlowy w Gdyni, która wtedy mogłaby stać się dla nas za małą. Wtenczas słusznie Polska mogłaby wystąpić na forum międzynarodowym z żądaniem przyznania Jej tych ziem jako kolonij, motywując to całkowitym opanowaniem ludności miejscowej przez żywioł polski i wielkim znaczeniem Polaków w życiu kulturalnym, cywilizacyjnym gospodarczym swego narodu czy szczepu ludności. Jeśli przeprowadzonoby sumiennie rewizję mandatów kolonialnych, wówczas Polska także mogłaby uzyskać kolonie. Lecz szanse takiego załatwienia sprawy są nikłe, gdyż wiele z państw europejskich stara się o kolonie. Gdyby te dwie drogi uzyskania przez nas kolonij zawiodły, będziemy zmuszeni w przyszłości sięgnąć po nie w podobny sposób, jak Włochy.

Armia polska pod dowództwem naszych generałów odegra wtedy wybitną rolę w zdobywaniu dla naszego państwa nowych terenów. Wtenczas napewno wszyscy zrozumiemy czyn Włochów, których całkiem niesłusznie potępia się jak zwykłą grabież. W przyszłości sami przekonamy się, że dla Włochów zajęcie Abisynii było jedynym wyjściem i jedynym ratunkiem, aby zapobiec przeludnieniu kraju. Może niezadługo, za lat kilkanaście, będziemy czynili to samo, co „czarne koszule“ Mussoliniego, gdyż zmusi nas do tego życie. Jedynie państwa posiadające kolonie i wielką flotę morską są mocarstwami świata, są potęgami, które odgrywają w życiu narodów wielką i dominującą rolę, których inne państwa obawiają się.

My, Polacy, jesteśmy wielkim narodem. mamy wielkich bohaterów, lecz w polityce naszych przodków nie brakło także wybitnie rażących błędów, które właśnie my winniśmy naprawić. Szlachta polska nie doceniała zupełnie roli morza w rozwoju gospodarczym państwa; handel i zagraniczny rynek zbytu nie odgrywał dla niej żadnej roli, a o koloniach nie było mowy. Nie jest to powód, abyśmy mieli wyśmiewać się i ostro krytykować niezaradność i niedopatrzenie oraz przeoczenie ważnych kwestii przez naszych przodków, ale powinno to dla nas być pobudką i podnietą do czynów, które uwieczniły nasze nazwiska w historii narodu polskiego. Przed nami właśnie leży ten wielki problem zdobycia dla Polski kolonii, które będą początkiem prawdziwego naszego mocarstwa — Wielkiej Polski. Każdy z Polaków winien mieć tę dumę narodową, ten honor i ambicję, że jeśli raz coś się przedsiębierze, to trzeba tego dokonać, trzeba, pomimo przeszków napotykanych i wielkich trudności dążyć ustawicznie do celu.

Kolonie zapobiegłyby także skutecznie bezrobociu, które u na sod kilku lat daje się dotkliwie odczuwać. Zbiórki na bezrobotnych — to tylko tymczasowe i pozorne załatwienie tej sprawy. Każdy bezrobotny Polak wolałby pracę, niż darowizny społeczeństwa i Funduszu Pracy. Pracę tę, a zarazem i chleb dla siebie i całej rodziny mógłby znaleźć w polskich koloniach. Nie byłoby także kwestii małorolnych lub bezrolnych, biedujących teraz w Polsce, za którą przelewali krew. Problem ten także posiadanie kolonij pomogłoby definitywnie rozwiązać. Kolonie są sprawą niedalekiej przyszłości, którą jeśli nie obecne, to przyszłe, wchodzące w życie, pokolenie musi pozytywnie załatwić. Miłość Ojczyzny i miłość ku rodakom będzie podnietą do realizacji tych zamierzeń, gdyż żaden Polak z pewnością nie będzie mógł obojętnie patrzeć na biedę i niedostatek swych braci lub ich tułactwo po innych krajach, gdzie nie są tak traktowani, jak my obchodzimy się z naszymi mniejszościami. My nie chcemy kolonij jedynie dla materialnych zysków i korzyści, jak Anglia; nie chcemy także być posiadaczami wielkich terytoriów ziemi — ale pragniemy, aby Polacy na ziemiach kolonialnych znaleźli znośne warunki życia, jeśli z Ojczyzny, wskutek przeludnienia, będą zmuszeni emigrować. Przyjdzie czas, że Polska bez kolonii nie będize mogła żyć, że Naród polski będzie dusił się w ciasnych granicach swego Państwa, co wcale nie będzie sprzyjało rozwojowi kulturalnemu, cywilizacyjnemu i gospodarczemu narodu.

Musimy pragnąć tego i pracować nad tym, ażeby kraj nasz był Wielką Polską, t. j. Polską mocarstwową, a stanie się nią tylko przez posiadanie kolonij.

Tak nam każe myśleć, czuć i robić nasz

własny interes narodowy, nasz prawdziwy, wielki patriotyzm, pamięć o wielkich, pełnych bohaterstwa i poświęcenia, wodzach naszego Narodu i współczucie dla niedoli Polaków oraz silna chęć polepszenia bytu Polakom, nie mogącym znaleźć chleba w Ojczyźnie.

Polska musi mieć kolonie!

K. Król, G. P. R. T.

Louis Pasteur.

Któż z nas nie czytał książki „Łowcy Mikrobów“? Któż nie zna długiego szeregu jej cichych bohaterów z przygarbioną postacią „dobroczyńcy ludzkości“ na czele? Któż nie zachował pamięci ludzi, którzy w swej niezmordowanej i żmudnej pracy rzucili wyzwanie śmierci, odsuwali jej bezlitosną rękę od tysięcy istnień? Oni sami nie zdawali może sobie sprawy, jaką ogromną wartość ma każdy dzień ich wysiłków, każda noc spędzona przy mikroskopie. Wyciągnęli ręce po tajemnicę, poszli w zapasy życia i śmierci, a poprowadził ich skromny a genialny chemik, L. Pasteur... Już przeszli, ulegli tej, którą zwalczali mocą swego życia. A życie popędziło dalej; czasami tylko herosy dobroci mgłą zapomnienia spowite, odżyją w pamięci przyszłych pokoleń.

Bohaterem moim — Ludwik Pasteur. Ze strachem też wybrałem się na sfilmowany obraz najświetniejszego okresu jego życia. Bałem się, że postać wytworzona w wyobraźni rozwieje się, a pozostanie ten obcy i daleki mi Pasteur na ekranie. Tymczasem miłe rozczarowanie. Paul Muni stworzył wspaniałą kreację. Tak wyobrażałem sobie bohatera, taką widziałem postać i takie na mnie patrzyły oczy. Zapadnięte głęboko, stanowcze i mocne, a jednocześnie tak piękne i łagodne.

Zdawało mi się, że Pasteur ożył.

Zrodziła go Francja, a zagarnął go cały świat, wielbią wszyscy. Życie jego, niezwykle dramatyczne, to praca i walka. Nic więcej. Dla nich poświęca siebie, szczęście i swe wielkie serce, przepełnione altruizmem i poświęceniem. Poszukiwacz nowych dróg. Otworzył oczy uczonym, pokazał, jak mało człowiek wie o sobie i otaczającym go świecie. W tajemnicy życia uczynił wyłom, przez który potoczyła się medycyna, wskazał drogę tysiącom swoich następców, ujarzmiającym mikroby, bakterie, saprofity.

Energia i siła charakteru pchała go ustawicznie naprzód, poszukiwanie prawdy dawało moc, a walka o nią z niewiarą i głupotą pochłaniała jego serce.

Jedyna to dusza, która obracając się w sferze ziemskiego realizmu, pracy laboratoryjnej i ustawicznych doświadczeń, zachowała do końca wprost metafizyczną głębię, olbrzymią siłę wyobraźni i intuicji. Ta ostatnia była zawsze niezawodna. Pasteur to: rozum i serce. — Walka w sobie, walka ze śmiercią, walka ze światem ludzi doprowadza go w końcu do psychicznego wstrząsu, do zapadnięcia na zdrowiu. Ale dla niego nie było przeszkód. Energia życiowa wprost niezniszczalna. Chory i osłabiony decyduje się na krok, przed którym długo się wahał i dla którego wiele zdrowia poświęcił.

Bo też któż z nas (znowu się zapytam) wie, co znaczy skamlanie o życie, kiedy trwoga przyszłych światów przenika duszę? Któż mógłby spojrzeć w oczy dziecka, będącego w agonii? Kto? Pasteur! On się odważył. Szczepi bakterie małemu Józiowi, potem chłopom rosyjskim i najstraszniejsza z chorób europejskich, wścieklizna, zwalczona.

Od rzeczy małych do wielkich. Od jedwabników, wąglika zwierzęcego, przez setki powtarzanych bez końca doświadczeń do triumfu życia, do zwycięstwa woli człowieka, do rozjaśnienia ciemności.

Kończąc, pozwolę sobie na małą, może naiwną dygresję. Zawsze postać Pasteur‘a zestawiałem z Napoleonem. Bohaterowie! Jakżeż różni, jak odmienni w swych strukturach duchowych. Przedstawiciele dwóch idei. Egoizm, sława, uświęcanie środków, a z drugiej strony altruizm, poświęcenie i praca.

Co dał światu Napoleon, a co Pasteur?

Niechaj każdy odpowie, niechaj zastanowi się, a napewno stwierdzi, że: „Pasteur zdobył cały świat, a sława jego nie kosztowała ani jednej łzy!“ Gdy tymczasem bóg wojny?

J. H., G. P. H. S.

W parku.

— Wejdźmy do parku.

— Dobrze, chodźmy.

I dwóch młodzieńców zbliżyło się do bramy parkowej. W pewnej chwili jeden z nich coś sobie przypomniał, bo rzuciwszy koledze „Pardon“, zawrócił na pięcie i podszedł do stojącego opodal kiosku. Po chwili wrócił i obaj, rozmawiając o rzeczach obojętnych zagłębili się w „alejkę zakochanych“.

W toku rozmowy jeden z nich, rumiany blondyn, wyjął pudełko, częstując papierosami kolegę. Ku jego największemu zdumieniu tamten potrząsnął głową.

— Dziękuję, nie palę.

— Jakto, ty? Bo ryknę śmiechem. Co ci się stało?

— Nic. Przestałem palić.

— Ale dlaczego?

— Dla oszczędności.

— Ha, ha, ha. Więc i ty w to uwierzyłeś. Zapewniam cię, że nic na tym nie zaoszczędzisz. Pieniądze, które wydawałeś na tytoń, znikną niewiadomo gdzie.

— Myślisz? 50 gramów „Przedniego" i zwijki „Prima Aida" kosztują mnie 2 zł. 70 gr. tygodniowo, czyli w ciągu roku 138 zł. 40 gr. Jeśli doliczę papierosy, kupowane nie raz w kioskach jak ty przed chwilą...

— Zabrakło mi — mruknął blondyn.

— Jeśli je doliczę — ciągnął tamten — to będę miał w ciągu roku sumę 150 zł., nie licząc procentów i innych oszczędności.

Zapanowała krótka chwila milczenia, przerwał ją blondyn.

— Dobrze. Ale musisz zważyć na to, że monopol tytoniowy przynosi państwu znaczne dochody, jeśli więc...

— ...jeśli więc wszyscy przestaną palić, to państwo poniesie wielkie straty, prawda? Otóż nie. Przypuśćmy, że w Polsce pali pięć milionów ludzi, z których kżady wydaje 20 zł. rocznie na tytoń. Przeciętnie, oczywiście. Te pięć milionów ludzi wypala zatem papierosów za 100 milionów zł. Kilometr dobrej autostrady kosztuje około 40 tysięcy zł., czyli możnaby za te pieniądze wybudować 2,000 klm. dróg. Cóż ty na to? Tylko nie trzeba tych pieniędzy chować w pończochę, czy do siennika, ale ulokować w dającej całkowitą pewność instytucji. W Komunalnej Kasie Oszczędności naprzykład.

Blondyn zamyślił się.

— Pobiłeś mnie argumentami — rzekł po chwili, zapalając papierosa, — ale mnie nie przekonałeś. Bardzo nierealnie wyglądają mi te kolosalne korzyści, pomówimy o tym jeszcze. Teraz żegnam cię. Czołem!

— Czołem!

* * *

Upłynęło pół roku.

Dwaj przyjaciele szli, jak wówczas Trzecią Aleją i jak wówczas weszli do parku. Cicho tam było, spokojnie i dziwnie tajemniczo. Blondynek wyjął papierośnicę i zwrócił się do swego towarzysza.

— Może zapalisz? Jakże tam twoje oszczędności?

— Bardzo dobrze. A ty zmieniłeś swoje zdanie?

— Poniekąd. Uznałem słuszność twoich wywodów. Mam jednak wrażenie, że oszczędzający za mało odnosi korzyści.

— To jeszcze mało — oburzył się zwolennik oszczędzania. — Nie dosyć, że sam masz zawsze forsę do dyspozycji, że ci jeszcze procenty płacą za to, że twoje pieniądze biorą, byś ich nie roztrwonił, nie dość, że ożywiasz życie gospodarcze kraju, jeszcze masz możność wygrania 500 zł., jak ja ostatnio...

— Jakto?

— No tak. Dwa razy rocznie K. K. O. urządza loterię i wylosowane książeczki otrzymują 500 złociszów.

Dość długo trwało milczenie. Wreszcie blondyn rzucił na ziemię w połowie zaledwie wypalonego papierosa i powiedział stanowczo:

— Nie palę!

— Wiesz, Stefan? — tłumaczył się potem koledze — to nie dla tego, żebym chciał te 500 złotych wygrać, ale ta oszczędność to pożyteczna rzecz. Pójdziesz ze mną jutro do K. K. O.?

— Bardzo chętnie.

S. P., G. P. R. T.

„Gorące serca zwalczą mróz".

Zima dla jednych — to zagadnienia: futro, czy palto, karakuły, czy foki, Riviera czy Szpicbergen, Zakopane czy Worochta, w najgorszym razie łyżwy czy narty; dla innych — to zagadnienie łyżki gorącej zupy, kila węgla, cieplejszej odzieży.

Pierwsze mrozy wypiszą białym szronem wiadomość o zakończeniu robót sezonowych prowadzonych przez Fundusz Pracy i przedsiębiorstwa prywatne. Blisko pół miliona robotników stanie oko w oko z mrozem i nędzą. Trudności zimowego bytowania bezrobotnych zwiększają się tym bardziej, że wzrasta gwałtownie i to prawie w jednym czasie liczba bezrobotnych. Drobna ich część może znaleźć pracę w innym fachu i to dorywczą, licha płatną, część niewielka — liczyć może na pomoc rodziny, ale reszta — to ludzie, którym grozi śmierć głodowa lub zamarznięcie w jakimś zaułku.

To też nic dziwnego, że akcja pomocy zimowej bezrobotnym, prowadzona na terenie całego państwa daje tak wspaniałe rezultaty. W tym wyścigu pomocy zimowej bezrobotnym przoduje świat pracy. Byliśmy świadkami ofiarności górników śląskich, którzy jeden dzień przepracowali na rzecz bezrobotnych, a węgiel przez nich wydobyty został przeznaczony także dla tych biedaków, którzy przez 5 miesięcy będą musieli wegetować i oglądać się tylko na ofiarność społeczeństwa.

Zetknąć się z tą biedą jest rzeczą nadzwyczaj łatwą.

Postanowiłem więc zrobić wywiad dla naszego pisma szkolnego. — Wieczór, ulice miasta pustoszeją, każdy szuka schronienia przed nocą, przed mrozem, który zaczyna dokuczać. Jasno oświetlony plac Br. Pierackiego, klomby pokryte cienką warstwą śniegu, za konarami drzew bieli się gmach magistracki, a z bo-

ku skromny budynek. Schody kamienne, dalej drzwi okute, a nad nimi napis głoszący, że tu znajduje się „Dom noclegowy dla bezdomnych“. Naciskam dzwonek. Ruch za drzwiami, zgrzyt zasuwek, a po chwili — „poczekajcie“ — odzywa się chrapliwy głos z poza drzwi — „nie mam klucza, zaraz przyjdzie władza“. Istotnie po paru sekundach zazgrzytał klucz, rozwarły się drzwi, za którymi ujrzałem dwóch ludzi; ubrania podarte, buty — każdy z innej pary, koszula na piersiach rozchełstana, twarze nie ogolone, w zębach papierosy, czapka nasunięta na uszy zasłania prawie połowę oblicza. — Pierwsi spotkani „lokatorzy“ tego domu. Groza i litośc zarazem budzą się we mnie.

W korytarzu drewniana umywalnia, z boku piecyk żelazny. Z korytarza wchodzę do obszernej sali, na środku której stoi ogromny stół, a dokoła ławy. Na ścianie obraz „Serca Jezusowego“, na przeciwnej krzyż. W rogu ogromny piec z kotłem, z lewej strony drzwi z okienkiem. Spostrzegam kilku biednych. Siwy zakonnik właśnie jodynuje ranę jednemu z nich, drugi zaś, wysoki, trochę zgarbiony, prosi o coś. Pada odpowiedź odmowna, okienko się zamyka. Po chwili nikną w „sypialniach“ biedni, pozostaję sam. Pukam do drzwi, z za których odzywa się brat Albertyn: — „Czego?“ — Otwiera okienko, spostrzega mnie i zdziwienie odbiła się na jego twarzy „Czyżby i sztubak tu szukał noclegu?“ pomyślał pewnie starowina. Mówię bratu o celu przybycia. Wpuszcza mnie do pokoiku, w którym mieści się zarząd tego domu. Biurko, szafa, przy której leży parę paczek, ofiarowanych dla biednych, prycza, nakryta kocem, na której śpi brat, miednica, w kącie piecyk żelazny, na ścianie obrazy brata Alberta, Świętych i portret Pana Prezydenta, to całe umeblowanie izby zakonnika. Już mam zacząć wywiad, gdy chłopięca twarz ukazuje się w okienku. „Proszę o pięć *Cov'boy*“, — płaci, papierosy zabiera i znika. „Papierosy trzymamy dlatego, bo oni wychodziliby ciągle, a tak, jak wejdą wieczorem, to dopiero rano wychodzą“ objaśnia mnie brat. Nie było mi jednak danem dokonać wywiadu tego wieczoru, gdyż interesanci zbyt często przerywali nasz ąrozmowę. Otrzymałem za to trzy numery pisemka Braci Albertynów „Nasza myśl“ i zaproszenie na dzień następny na godzinę 14-tą. Wyszedłem; w tej chwili wzrok mój padł na jasno oświetlone okna „Europy“. Jakiż kontrast, dwa światy tak różne i tak blisko siebie, cóż za ironia losu.

. . . .

Na drugi dzień, punktualnie o godz. 14-ej znalazłem się w „Domu noclegowym“... Pusty był; lokatorzy na „spacerze“, tylko odźwierny i brat znajdowali się w jego wnętrzu. Wywiad zaczyna sam brat Albertyn, opowiadając o powstaniu tej placówki w Częstochowie. „Pięć lat mija, gdy objęliśmy ten „gmach“ po dawnym więzieniu. Dnia 13-go stycznia 1932 roku przybyliśmy z Krakowa, by objąć tę placówkę. Właściwa nasza nazwa to III Zakon Św. Franciszka Serafickiego do posługiwania ubogim. Dalej opowiada o bracie Albercie, o powstaniu zakonu i jego rozwoju i dochodzi do pracy na placówce częstochowskiej. „Tu w Częstochowie“ mówi brat Albert „mamy bardzo ciężkie warunki. Są tu dwie salki, w których może spać do 50 osób, a śpi w zimie do 120. Biedacy ci otrzymują od nas w niedzielę śniadanie i kolację, a w dni powszednie tylko ci, którzy nie mogą znikąd otrzymać czegoś do zjedzenia.“ Następnie brat podaje mi książkę kasową, gdzie widnieje miesięczny rozchód, który waha się od 120 zł. do 150 zł. Społeczeństwo daje tylko kilkadziesiąt złotych, a subwencje magistrackie zostały cofnięte. „Właściwym naszym celem“ mówi brat „jest stworzenie warsztatów i danie pracy tym biedakom, tak, jak to urządziliśmy w Warszawie, Krakowie i innych miastach, skąd wychodzą pożyteczni pracownicy“.

„A jak wygląda rozkład dnia?“ rzucam pytanie. „O godzinie 8-ej rano muszą opuścić wszyscy biedni dom, a my robimy porządki. Od 17-ej do 20-ej schodzą się, a potem nie wpuszcza się nikogo, chyba że pierwszy raz przybył. Za nocleg nie płacą. W nocy zachowują się bardzo spokojnie, ale niepokoi nas często policja, poszukując złodziei, jednak u nas jeszcze nigdy nie znalazła. Na wiosnę kupiliśmy konie, by móc zebrać dla tych biedaków na zimę trochę kartofli i kapusty po okolicznych wioskach.“

„Czy dużo jest młodych chłopców?“ pytam dalej. „Było ich 10-ciu“ pada odpowiedź „ale policja powysyłała ich do domów, tak, że przez parę dni nie było ani jednego. Teraz wróciło 4-ch. Pytałem się ich, gdzie byli? Dwaj chłopcy mówili, że policjant zawiózł ich do domu, ale tam starszy brat na pytanie policjanta, dlaczego braćmi się nie opiekuje odpowiedział, że też opuści dom, gdyż nie ma z czego żyć. Policjant autobusem, a chłopcy pieszo przybyli do miasta, a wczoraj to aż z pod Wielunia powrócił jeden z tych malców. Teraz czekam na pozostałych, gdyż wiem, że i tamci powrócą. Są to chłopcy w wieku od 10-ciu do 18-tu lat. Gdybyśmy mieli poparcie społeczeństwa, potrafilibyśmy tych młodych wykolejeńców popchnąć na właściwą drogę, a tak trudno, bardzo trudno. Kiedyś spotykam na ulicy jednego z tych chłopców. Patrzy na mnie, uśmiecha się szelmowsko i mówi, pokazując na pierwszy śnieg: „Proszę brata — śnieg“. Patrzę, koszula tylko na grzbiecie, nogi bose, czerwone. Obecnie „skombinował“ marynarkę i jakieś kalosze.“

Teraz oglądam z bratem kuchnię, gdzie grzeje się kilku bezdomnych, a na piecu gotu-

je się kapuśniak w ogromnym kotle. Podwórze malutkie, chodzi po nim kilka kur i kaczek. — „Oto nasz żywy inwentarz" mówi brat. Oglądam teraz „sypialnię". Długie prycze; na nich to śpią bezdomni, a dla tych, którzy nie mają miejsca na pryczach, znajduje się miejsce pod pryczami na gołej ziemi. Przeważnie tam śpią malcy. „W nocy tu bardzo zimno" mówi brat, „a warunki higieniczne okropne: łazienek nie ma, umywalnia w zimie zamarza, tak, że ci ludzie nie mogą się nawet umyć".

Dziękuję bratu za wywiad, chowam do kieszeni notatki i za chwilę znajduję się poza obrębem murów „Domu noclegowego". Ale obraz tego, co widziałem, długo pozostanie w mej pamięci. *I. Kamiński,* G. P. H. S.

Harcerze mówią.

WEZWANIE!

Po raz drugi wzywam Was, Drużynowe i Drużynowi drużyn szkolnych, abyście wzięli udział w prowadzeniu działu „Harcerze mówią" w „Świecie Szkolnym". Zacznijcie od krótkich wzmianek o pracy drużyn, a poprzez opowiadania i wspomnienia harcerskie dojdziemy z czasem do poważnych artykułów harcerskich. Chciałbym, by moje wezwanie nie minęło tym razem bez echa.

Czuwaj!

L. Wysocki, drużynowy 3 Z. D. H.

KOMINEK DLA RODZICÓW Dn. 21. XI.

Od X dni krążyła na terenie drużyny wiadomość o kominku dla rodziców. Najpierw dowiedzieli się o tym na Radzie zastępowi, potem zastępy. Wiadomość ta była przycyną frasunku jednych i drugich. Termin owego kominka został wyznaczony nieuchronnie.

Kominek dla harcerzy, to odtworzenie ogniska obozowego, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

„Kominek w tę sobotę", „Wszyscy przychodzą z rodzicami". — Takie to rozkazy krzyżowały się już w piątek.

Dla biszkoptów było to coś nowego, nieznanego, co miało dla nich pewien posmak tajemniczości. Ale przystąpmy do rzeczy.

Kominek, jak się rzekło, naznaczony na sobotę.

Na sali panuje półmrok. Znajdują się tam już harcerze i rodzice wokół improwizowanego ogniska. Światło rzucane przez reflektor, imitujący ognisko ubiera twarze uczestników ciemnopurpurowymi blaskami. Piosenką „Płonie ognisko", uświęconą tylu tradycjami został rozpoczęty kominek. Wszyscy śpiewają z przejęciem, z całej duszy. Niejednemu przypomniał się pewnie cichy wieczór nad wodą, przy wesoło trzasakjącym ogniu i drżąca w powietrzu piosenka, nieodłączna towarzyszka harcerza. Przebrzmiała piosenka, tylko ostatnie jej tony ginęły gdzieś po kątach, wywołując złudzenie szumu lasów. Chwila ciszy... zda się, że wszyscy wsłuchują się w te dźwięki... Potem burza oklasków ze strony rodziców, ale oklaski te zagłuszają chóralnie „wyjadacze" obozowi: wyją, wyją, wyją... Ochota się wzmaga. Sztuczny nastrój prysł. „No, to może sobie jeszcze coś zaśpiewamy" podał projekt nasz drużynowy, a zarazem mistrz ognia we własnej osobie, (trzeba dodać, że w nowym mundurze. A jakże!).

Zeszły się raz dwie stare kumoszki". — Wiara rozśpiewała się na dobre.

Tymczasem nasz zwierzchnik od „występków" (pokazów) skinął na nas, byśmy się przygotowali. „Ballada na scenę" — podają sobie wtajemniczeni.

Kurtyna rozsuwa się i oczom obecnych ukazuje się dwór wschodni. Król w rozpaczy targa siwą brodę i opowiada o nieszczęściu, jakie nawiedziło jego państwo. Królewna smutne oczy wypłakuje. „Allach jest Bóg... Allach jest Pan..." — zawodzi dwór. Przyczyną smutku na dworze króla Bubunaroko jest srogi smok, który pożera ludzi. Akcja rozgrywa się w tempie amerykańskim. Zjawia się sławny rycerz, don Kichot, wraz z Sancho Panchą. Zabija smoka. Prosi o rękę królewny. Zostaje przyjęty. Król uszczęśliwiony błogosławi ich. Kurtyna zapada... nie, znowu się podnosi, bo ballada skończona. B!r!a!w!o! brawo, brawo, brawo.

Po tej „wspaniałej" balladzie następuje dalszy repertuar piosenek i kawałów. Ale chyba najlepszym kawałem było: „Jak się komendant obozu pobił z oboźniczym". Był to naprawdę „kawał" mało dyskretny. — Stanowczo dzisiaj się sprzysiegnięto na uszy naszych rodziców. Znowu „ryknięto" sobie piosenkę od ucha „Przez wodę koniczki". Stare wiarusy już pewnie całkiem zapomniały, że to nie w lesie. No, ale teraz coś strasznego! Według zapowiedzi, zostanie odegrany dramat „Zbójcy Szyllera". Wszyscy nastrajają się odpowiednio do tego dramatu. Półgłosem nucimy „Zmarł biedaczysko". Wreszcie po długim a ciężkim wyczekiwaniu rozsuwa się kurtyna. „A, dzieńdobry, ojcze!" — „Dzieńdobry! Jak ci tam w szkole?" — „Chwileczkę, ojcze, zaraz przyjdę". Wszyscy oczekują z napięciem nerwów, co się teraz stanie? Pewnie z krzykiem wypadną zbójcy. Tymczasem ojciec zaczyna jęczeć. Syn wraca, troskliwie wypytuje ojca, co mu się stało? — „Z powodu choroby ojca przedstawienie się nie odbędzie" — usłyszeliśmy na zakończenie. Ani słowa, ci się szybko uwinęli. Na sali chwilowo zapanowała konsternacja, no, bo jak świat światem... Ale zostawmy niefor-

tunnych przedstawicieli romantyzmu, bo zbliżamy się ku końcowi. (Wszystko kończy się na tym świecie.) Przed oczyma rodziców przedefilowały wszystkie zastępy obozowe ze swoimi kawałami, ze swoim humorem. „Krzysztof Sie — wi“ zabawiał zebranych przygodami Icka Pomeranca(ze sławnego kalendarza!) i lekcją geografii. Inne zastępy też nie pozostały w tyle. Na zakończenie druh drużynowy wygłosił gawędę-sprawozdanie z ostatniego obozu z Wąsoszy.

Cały „kominek“ (powiem skromnie) wypadł blado, ale ciemne oświetlenie pokryło wszelkie braki i niedomagania, tak, że całość była mile spędzoną godzinką przy ognisku.

T. Keller, 3 Z. D. H.

KĄCIK KRAJOZNAWCZY.

Boże Narodzenie na wsi

Przez ostatnie dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem trwają przygotowania do świąt. Kobiety z pozawijanymi rękawami uwijają się po podwórzach, wybierają „prośnionkę“ na pendzle do bielenia, znoszą z glinanek glinę, lepią ściany, kominy, lasują wapno i bielą chaty. Jest to najważniejsza praca. Bielenie poprzedza pranie gruntowne. Podczas takiego prania pierzyny i poduszki zepchnięte na kupę, czerwienią się nieobleczone, a nad łóżkami, z których zwisa słoma, unoszą się kłęby puchu. Potem następuje jeszcze mycie drzwi, okien, czyszczenie obrazów, wreszcie oblekanie pościeli.

W wigilię stoją już wszystkie chaty wybielone jasno, robota co większa skończona, ale tyle jest jeszcze drobnych rzeczy do zrobienia, że wszyscy mają wciąż zajęcia po uszy. Pracują pilnie, z ochotą, boć przecież wiadomo, że „jak kto przez wilyjom robi, tak będzie robił przez cały rok“.Z rana, bardzo jeszcze wcześnie, zaczyna się we wsi ruch. Gospodarze przychodzą sobie powinszować i pogwarzyć, choć momencik, bo czasu przecież dużo nie ma.

Największy ruch i krzyk czynią dzieci. — Oglądają na przypieckach gałązki wiśni, wsadzone w dzień św. Katarzyny przed wschodem słońca do flaszek z wodą, czy im nie zakwitły, wyciągają ze skrzyń opłatki i obgryzają pokryjomu, mieszają się do każdej sprawy. Młodsze nie czynią takiego rwetesu, wiedzą, pouczone przez starszych, że „we wilyjom dzieci bijom, za piec wsadzom, jeść nie dadzom, dwa garnuski sadzy dadzom“.

Śniadanie jest bardzo skromne, gdyż w ten dzień przypada post. Przed południem zaczynają kobiety warzyć kolację. Wstawiają siemię na „siminiotke“, kapustę, wyciągają zza pieca wianki grzybów i suszone śliwki. Obiadu nie ma. Po południu ruch, zgiełk i krzyk dochodzą do punktu kulminacyjnego. Gospodynie rozcierają „siminiotke“, dzieci chodzą do sklepu po ostatnie zakupy, wycinają cacka na choinkę, obskubują upieczone placki. Inne łażą koło studzien, ślizgają się na lodzie i z niecierpliwością oczekują zmroku, pierwszej gwiazdy. Kiedy poczyna się ciemnieć, każdy gospodarz przynosi z pewną czcią i nabożeństwem słomę i siano na stół, gospodyni nakrywa go lnianym „prześcieradłem“, a wtedy wszyscy domownicy siadają do wilii. Jedno miejsce jest zawsze wolne przy stole dla sieroty. Gospodyni wyciąga ze skrzyni poobwijane w szmaty opłatki, kładzie na stole, a wtedy następuje akt dzielenia się opłatkiem. Więc naprzód ojciec, potem matka łamią się między sobą, potem inni. Życzą sobie zdrowia, szczęścia, szczęśliwego żniwa, plonów, dziewuchy mężów w karnawale, a chłopcy żon. Wieczerzę należy jeść wolno, spokojnie i wszystko zjadać dokładnie. Podczas wieczerzy wychodzą dziewuchy przed dom i spoglądają przez okno do chaty, a co która w pierwszej chwili ujrzy przez szyby, to się w domu stanie. Tak np.: trumna oznacza śmierć, welon — wesele, kołyska — małe dziecko. — Potrawami podawanymi na wieczerzę są przede wszystkim: kapusta z grochem lub fasolą, „siminiotka“ z „kasom jaglanom“, „woda śliwkowa z kluskami“, a później inne. Liczba potraw podawanych w wigilię musi być nieparzysta, a więc: 3, 5, 7, 9 i 11.

Po skończeniu kolacji odśpiewuje się pobożnie kilka kolęd, bo chociaż Pan Jezus jeszcze się nie narodził, ale czas radości następuje pierwej. Po kolacji domownicy się myją, czyszczą buty na pasterkę, a dziewuchy zamiatają izby, wyrzucają śmieci na gnój, krzycząc przy tym trzykrotnie: „Leć-że głosie na wszystkie strony, skąd mi przyjdzie narzecóny?“ W której stronie odezwie się echo, z tej strony przyjdzie przyszły mąż. Idąc spać, trzeba położyć na stole talerz ze święconą wodą, chleb i opłatek, aby Pan Jezus, wędrujący w tę noc po świecie, poświęcił chałupę i spróbował domowego chleba.

Dzień Bożego Narodzenia jest świętem bardzo uroczystym. Cięższych robót, ba nawet niektórych zwykłych prac nie można wykonywać. Nie można łóżek słać, izby zamiatać itd. Przed śniadaniem bierze gospodarz opłatek i chleb leżący przez noc na stole i udaje się do obory. Tu daje go bydłu i owcom. Koniom i innym zwierzętom daje sam chleb. Oczywiście zwierząt się nie bije, gdyż i one są dzisiaj w

stanie łaski i mogą ludzkim głosem mówić.

Po śniadaniu, na które składa się kawa i placek, udają się ludzie do kościoła. Wszystkie twarze wesołe, gdyż i w kościele wesoło. Organista wygrywa wesołe kolędy, że aż nogi podrygują do tańca.

Po południu zbierają się w niektórych domach baby na śpiewanie kolęd. Rozbrzmiewają tedy skoczne tony po całej wsi.

Dzień św. Szczepana jest dniem różnych wróżb i przesądów. Wcześnie rano wychodzą chłopcy do ogrodów, by tam słomą ze stołu obwiązywać drzewa, aby dobrze obrodziły. Do kościoła na sumę prawie wszyscy wyjeżdżają sankami lub furmankami. A już naprzód wiedzą, co trzeba szykować do kościoła na Boże Narodzenie, sanie, czy furę, bo „jak św. Barbara po lodzie, to Boże Narodzynie po wodzie“ i naodwrót: „jak na świętom Barbarę mróz, to sanie pod sope złóz!“ W dzień św. Szczepana święci się owies podczas sumy w kościele. Kiedy zaś ksiądz święci owies wodą, z chóru sypią się na niego garście owsa, jak kamienie na św. Szczepana. Owies poświęcony miesza się do owsa, który się sieje, aby się dobrze urodził. Po skończeniu wszystkich obrzędów w kościele śpieszą się ludzie do fur i sanek, by jak najprędzej wyruszyć do domu i przyjechać do wsi. Bo kto pierwszy przyjedzie z kościoła do domu, ten pierwszy żniwo skończy. Ścigają się furmanki, chłopi strzelają z batów, słychać śmiechy i wrzawę. Przyjechawszy do domu, śpieszy gospodarz do chaty i tam resztę słomy pozostałej na stole rzuca za belki pokładu, a ile źdźbeł słomy zatrzyma się za belkami, tyle kóp żyta stanie we żniwa na polu. Siano ze stołu rozdaje się bydłu. Wieczorem słychać, gdzie niegdzie granie skrzypiec, które z wesołych tonów kolęd, przechodzi w skoczne mazurki, polki i oberki.

Tak kończą się święta Bożego Narodzenia, a wspomnienia ich odświeża się w opowiadaniach przez długi karnawał. *J. F.*

Koło Krajoznawcze przy G. P. H. S. w Częstochowie.

Wiadomości bieżące.

Z ŻYCIA G. P. J. S.

Dn. 23. XI. 1936 r. odbyło się uroczyste poświęcenie nowo wybudowanego gmachu przy Gimnazjum Państw. im. J. Słowackiego.

Poświęcenia dokonał ks. prałat Mirecki w asyście ks. prefekta Karlika przy udziale przedstawicieli władz państwowych, wojskowych, samorządowych, członków Komitetu Rodzicielskiego, dyrekcji, grona nauczycielskiego i uczenic.

W tym dniu odbyło się także odsłonięcie tablicy ufundowanej przez rodziców na pamiątkę ofiarnej pracy p. dyrektorki Zofii Idzikowskiej, zarządu Komitetu Rodzicielskiego z p. Pertkiewiczem i p. Plebankiem na czele.

Pan wizytator Morawski, pan wizytator Wierzbicki, pan starosta Rogowski, pan pułkownik Krajewski za zasługi, oddane naszej szkole zostali uznani za członków honorowych.

W imieniu uczenic kol. Jaskorzyńska złożyła podziękowanie p. dyrektorce i Komitetowi za bezinteresowną i pełną poświęcenia pracę przy budowie nowego gmachu.

W nowym budynku znajdują się bardzo obszerne, nowocześnie urządzone, zaopatrzone we wszelkie pomoce naukowe sale: przyrodnicza, demonstracyjna, fizyczna, gimnastyczna, trzy hale, a także szatnia.

Z „HERBATKI DYSKUSYJNEJ“ KÓŁ PRACY SPOŁECZNEJ DLA PAŃSTWA URZĄDZONEJ STARANIEM KOŁA PRZY GIMN. ŻEŃSKIM IM. J. SŁOWACKIEGO W DNIU 26. X. 1936 R.

„Herbatka“ była właściwie pierwszym zebraniem Komisji porozumiewawczej Kół Pracy. Celem jej było: a) wybór Zarządu, b) sprawozdanie z działalności Kół.

Po zagajeniu prezeski kol. Ogarówny, VIII G. P. J. S., złożyli sprawozdania z działalności Kół delegaci Kół: przy I Gimn. H. Sienkiewicza, Traugutta, Społecznym, Handlowym, Seminarium Ochroniarskim i gimn. żydowskim. W tym roku praca wychodzi poza ramy szkół, na szerszy krąg. Koła wezmą udział w akcji pomocy zimowej dla bezrobotnych oraz z inicjatywy Koła przy I Gimn. Państw. H. Sienkiewicza zorganizowano łańcuch ofiar na F. O. N.

Na zebraniu tym dokonano wyboru, a właściwie skompletowania Zarządu, który obecnie przedstawia się następująco: prezeska — kol. Ogarówna, kl. VIII G. P. J. S., v.-peres — kol. Rybicki, kl. VIII G. P. R. T., sekretarz — kol. Kulisiewicz, kl. VIII G. P. H. S.

Drugą, nieoficjalną część „Herbatki“ wypełniły tańce. — Podczas całej „Herbatki“ panował, dzięki uprzejmości gospodyń (Gimn. J. Słowackiego) miły nastrój. Całość wywarła na wszystkich bardzo dodatnie wrażenie. *K.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

G. P. R. T. „Modlitwa“ — nie zamieścimy. G. P. R. T. „O oszczędności“ — może w następnym. G. P. H. S. „Raut“ (kulisy) — nie przyjmujemy. G. P. H. S. „Tęsknota“ — nie zamieścimy. G. P. H. S. „Widmo“ — praca niesamodzielna. G. P. H. S. „Idzie nocka“ — nie zamieścimy. G. P. H. S. „Marzenie“ i „Wspomnienia“ — nie drukujemy. G. P. H. S. „Wigilijny wieczór“ — nie umieścimy. G. P. H. S. „Echa rautu“ — nie umieścimy.

Kurator: *M. Bojarska.* Redaktor: *J. Kapuściński.*

Druk F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.

Kino-Teatr „Luna“

KUPON ULGOWY

„Swiata Szkolnego”

upoważniający do nabycia jednego biletu zniżkowego dla jednej osoby ważnego od 15.XII.36 do 25.I.37 r. z przerwą świąteczną.

za cenę: balkon 80 gr.





Wykonano w Zakładach Graficznych F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja Nr. 52.